

HALINA HELLONOWA

Halina Hellonowa urodziła się w Warszawie 17 lutego 1903 roku, jako drugie z sześciorga dzieci, Stefana Offmańskiego i Marii z Dąbrowskich Szymańskiej. Dzieciństwo spędziła na Podolu, gdzie ojciec otrzymał posiadłość. Był on z zawodu ogrodnikiem – projektantem ogrodów i parków oraz zajmował się nasiennictwem, matka zajmowała się domem.

Strona | 1

Początkową naukę pobierała w domu pod okiem ciotki, a od 1917 roku uczęszczała do polskiego gimnazjum w Płoskirowie. W 1920 roku, po wybuchu wojny polsko - bolszewickiej, rodzina Offmańskich wraca do Warszawy. Halina, wraz z dwoma siostrami, umieszczona zostaje w gimnazjum z internatem w Chełmie, które utworzono tam dla kresowiaków. Po roku przenosi się do gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Warszawie, a po jego ukończeniu wstępuje do Seminarium Nauczycielskiego w Radomiu. Ukończywszy seminarium uzyskuje zawód nauczycielski i pracę w tym zawodzie rozpoczyna w szkole powszechnej w 1924 roku w Białaczowie, w powiecie opoczyńskim. Później jeszcze pobliski Wójcin i ponownie Białaczów.

W 1926 roku wychodzi za mąż, za kierownika szkoły w Białaczowie – Zygmunta Hellona, pochodzącego z Sambora koło Lwowa. Z małżeństwa tego miała syna i córki.

Wojna niemiecko - polska, która rozpoczęła się we wrześniu 1939 roku zastała Hellonów w Białaczowie. Dnia 8 września wojska niemieckie zajmują Białaczów, a zostaje wzięty jako zakładnik. Po dwóch tygodniach zwolniony, powraca wraz z żoną do pracy w szkole, którą po znacznym okrojeniu materiału nauczania, Niemcy pozwolili uruchomić.

Z dniem 1 marca 1940 roku Halina zostaje zwolniona z pracy w szkole. Nie zaprzestaje jednak pracy nauczycielskiej, gdyż podejmuje nauczanie w konspiracji, które organizowała Tajna Organizacja Nauczycielska (TON) działająca pod okupacją niemiecką. TON utworzyła w Białaczowie komplety nauczania z zakresu szkoły powszechnej i szkoły średniej. Nauczycielami byli miejscowi i wysiedleni nauczyciele z poznańskiego, czy z Łodzi. Między innymi profesorowie: Ignacy Laskowski i Józef Koperny - wykładowcy z Gimnazjum z Pleszewa.

Jesienią 1939 roku, wraz z organizowaniem się walki podziemnej przeciwko okupantowi, mąż Zygmunt, wspólnie z zaufanymi ludźmi, tworzą placówkę Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), późniejszą Armię Krajową (AK). Zygmunt Hellon, ps. „Margas”, zostaje pierwszym komendantem tej placówki. Halina współpracuje z mężem i oddziałami leśnymi AK – chociaż oficjalnie do AK nie należy. W ich mieszkaniu odbywały się zebrania, narady, przekazywanie różnych materiałów konspiracyjnych (gazetki, rozkazy, mundury, dokumenty tożsamości itp.). Jedną z takich akcji opisuje następująco: „... W końcu kwietnia 1940 roku, po rozbiciu partyzantki majora Hubala przez Niemców, zgłosił się do nas kapelan tych oddziałów ks. Ludwik Mucha, prosząc o pomoc, gdyż nie posiadał żadnych dokumentów. Ukryliśmy go wspólnie z mężem w okolicznych lasach. Przez tydzień donosiliśmy mu żywność, potrzebną odzież, buty. Wyrobiliśmy odpowiednie dokumenty na inne nazwisko i doręczyliśmy zainteresowanemu, który 10 maja 1940 roku mógł swobodnie opuścić kryjówkę i udać się w inne miejsce.”

W czerwcu 1943 roku dochodzi do wykrycia konspiracyjnej działalności męża. W porę ostrzeżony zdołał umknąć i wraz z synem, również członkiem AK, ukrywał się w Warszawie. Biorąc udział w Powstaniu Warszawskim został ciężko ranny, a syn Zbigniew ps. „Kumpel”, podchorąży dywizjonu „Jeleń”, poległ 2 września 1944 roku w walce na Sadybie.

Od tej pory Halina również musi się ukrywać poza domem, gdyż Gestapo zaczęło ją poszukiwać. Nie straciła jednak kontaktu z „chłopcami z lasu” i z tajnym nauczaniem. Jednak w dniu 26 maja 1944 roku zostaje aresztowana i osadzona w więzieniu w Tomaszowie Mazowieckim. Na początku czerwca poddana zostaje przesłuchaniom w siedzibie Gestapo

(„Zapiecek” – kaźnia Polaków). Przesłuchujący chcąc się dowiedzieć, gdzie przebywa mąż, poddają ją ciężkiemu i krwawemu biciu. Nie załamała się i nikogo nie wydała. Po tym okrutnym śledztwie, wraz z innymi więźniarkami, 13 czerwca 1944 roku, została wywieziona do kobiecego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Przeszła obowiązkowe badania pseudolekarskie i kwarantannę – otrzymała numer 42491.

Po upływie miesiąca, w dniu 20 lipca 1944 roku, po okropnej i upokarzającej selekcji przed komisją gestapowską, wywieziona została do pracy w fabryce amunicji do Lipska. Więźniowie pracujący w tej fabryce podlegali obozowi koncentracyjnemu w Buchenwaldzie. Tutaj otrzymała numer 3313.

W obozie wskutek wyczerpującej pracy (po kilkanaście godzin przy maszynie, na stojąco) i podłemu wyżywieniu, często chorowała, tworzyły się jej wrzody w gardle i za uszami, wypadały zęby, tworzyły się flegmony, stawała się coraz słabsza i bardziej chora.

W takiej sytuacji zastaje ją ewakuacja obozu. Przebywając w tym czasie w szpitalu obozowym, a nie będąc pewna co do dalszych losów i nie chcąc zostać na miejscu – bo chorzy pozostawali w obozie – zamienia się z więźniarką Rosjanką i 13 kwietnia 1945 roku wychodzi na ewakuację wraz z 6 tysiącami kobiet i 2 tysiącami mężczyzn.

Ewakuacja odbywała się bocznymi drogami z Lipska w kierunku Drezna i stała się grobem wielu więźniów i więźniarek, którzy padali z głodu i wycieńczenia lub od strzałów esesmanów. Po 3 tygodniach tej okropnej wędrówki w miejscowości Gross-Schirma 3 maja 1945 roku, wraz z dwiema więźniarkami, udaje się jej zbiec i ukryć do czasu zajęcia tych terenów przez wojska radzieckie i uwolnienia.

26 maja 1945 roku powróciła do domu do Białaczowa. Zastąpiła męża inwalidę, dwie córki wynędzniałe po tułaczce u różnych krewnych w kilku miastach GG; syn legł w Powstaniu Warszawskim, a dobra materialne wywiezione dla ocalenia do krewnych, do Warszawy – przepadły.

W tej sytuacji Hellonowie skorzystali z zaproszenia prof. Ignacego Laskowskiego i w lipcu 1945 roku przenieśli się do Pleszewa, do jego obszernego mieszkania przy ulicy Poznańskiej 55, w którym profesor zamieszkiwał samotnie.

Zygmunt Hellon już nie odzyskał zdrowia i nie podjął pracy. Z biegiem czasu częściowemu paraliżowi i w 1955 roku zmarł.

Poobozowe wycieńczenie daje znać o sobie, gdyż wkrótce po przyjeździe do Pleszewa z rodziną, Halina zapada na tyfus i 3 miesiące spędza w szpitalu.

Pracę nauczycielki podejmuje w styczniu 1946 roku w Szkole Powszechnej nr 2 im. Królowej Jadwigi w Pleszewie, a kończy ją w roku 1973.

W czasie swojej aktywności zawodowej dużo pracowała społecznie: najpierw zarządzie Związku byłych Więźniów Politycznych, a po jego przekształceniu - w zarządzie Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Pracowała w Lidze Kobiet oraz w Komitecie Osiedlowym. Wchodziła również w skład komisji historycznej przygotowującej obchody 700-lecia miasta Pleszewa.

Za swoją działalność otrzymała następujące odznaczenia:

- Krzyż Kawalerski „Polonia Restituta”
- Krzyż Oświęcimski
- Krzyż Partyzancki
- Krzyż Armii Krajowej
- Medal Zwycięstwa i Wolności
- Medal Edukacji Narodowej

- *Medal 40-lecia PRL.*
- *Odznaka za tajne nauczanie TON*
- *Odznaka 1000-lecia,*
- *Złota Odznaka Związku Nauczycielstwa Polskiego.*

...ABY CZAS NIE ZAĆMIŁ I NIEPAMIĘĆ...

ARESZTOWANIE

Kiedy wybuchła wojna, znajdowałam się wraz z rodziną w Białaczowie, małej osadzie powiecie opoczyńskim, w województwie kieleckim. Wybuch wojny, aczkolwiek przewidywany, zaskoczył nas wszystkich. W osiem dni po rozpoczęciu wojny, tereny nasze, k bardzo odległe od granicy niemieckiej, zostały zajęte przez Niemców. Wraz z wieloma innymi mieszkańcami, mąż mój – Zygmunt Hellon, został wzięty przez Niemców jako zakładnik. Wśród zakładników znalazł się także ks. Ludwik Mucha, późniejszy kapelan Hubalczyków. Zakładnicy trzymani byli przez kilka dni w stajni cugowej Platerów; potem zwolniono ich do domów, ale pod bezwarunkowym zakazem opuszczania mieszkania.

Po pewnym czasie, gdy wszystko „zaczęło się układać”, Niemcy polecieli wszystkim wrócić na stanowiska pracy, które zajmowali przed wybuchem wojny. Wróciliśmy więc oboje z mężem do pracy nauczycielskiej – mąż jako kierownik szkoły, ja – jako nauczycielka.

Oprócz prowadzenia lekcji wyznaczonych programem, na prośbę rodziców uczniów, wraz z innymi nauczycielami rozpoczęłam tajne nauczanie w zakresie przedmiotów usuniętych ze szkolnych programów przez okupanta – historii, literatury, geografii.

Na wiosnę 1940 roku zostałam przez władze niemieckie zwolniona ze szkoły, podjęłam pracę jako księgowa w Spółdzielni Spożywców „Społem”. Nie zrezygnowałam jednak z pracy nauczycielskiej. Zgłosiłam swój udział w zorganizowanym tajnym nauczaniu, do którego przystąpili też profesor Ignacy Laskowski, wysiedlony z Pleszewa do Białaczowa w grudniu 1939 roku, Wiktor Szczypiński, student prawa wysiedlony z Łodzi i wielu innych miejscowych nauczycieli.

Na terenie powiatu opoczyńskiego działały już wówczas: Tajna Organizacja Nauczycielska, z przewodniczącym Wł. Wojtaszkiem, Powiatowa Tajna Komisja Oświatowa, z przewodniczącą Fr. Chałubińską i Powiatowa Tajna Komisja Egzaminacyjna, której przewodniczyli dr Helena Spoczyńska i Józef Lambert.

W tajnym nauczaniu podstawową komórką organizacyjną były komplety liczące pięcioro-sześcioro uczniów. Zbierały się one w coraz to innych miejscach; zawsze w takich mieszkaniach, z których łatwo było wyjść innymi niż główne drzwiami i rozpierzchnąć w różne strony. Zwykle też przed „szkolnymi” domami rozstawiane były czujki, które dawały znać o jakimkolwiek zagrożeniu. Poza tym dzieci były tak zorganizowane, że w razie niebezpieczeństwa każde zaczynało spełniać wcześniej powierzone zadanie: chłopcy sprząтали podwórze lub rąbali drzewo, córka gospodarzy nagle kładła się jako chora do łóżka, a inne dziewczynki spełniały rolę koleżanek, które przyszły właśnie ją odwiedzić. Ja musiałam opanować sztukę targowania się z gospodynią o cenę jajek lub masła, które właśnie przyszedłam kupić. Na książki i zeszyty była przygotowana skrytka, w której „materiał kompromitujący” ginął bez śladu. Skrytkę tę znali tylko gospodarze mieszkania. Na szczęście, w tak niebezpiecznej sytuacji znaleźliśmy się tylko raz i wyszliśmy z niej obronną ręką.

Muszę tutaj wspomnieć, że w tym czasie w Białaczowie i okolicy zamieszkiwało wiele osób wysiedlonych z Poznańskiego, a więc z Pleszewa wspomniany prof. Laskowski z bratankiem, prof. Koperny z żoną i synkiem, dr Sągin, państwo Chabrasiewicz i Biernacy, nauczyciele: Jajor, Kosiński i Beretówna, żona majora Piaseckiego z Poznania z pięciorgiem małych dzieci, dwie starsze panie: Skórzewska i Niegolewska (też chyba z okolic Pleszewa),

Pankauowie z okolic Czarnkowa, Kobylińscy i Kozubscy spod Obornik, pani Jaworska z małymi dziećmi, i wiele, wiele innych osób, których nazwisk nie pamiętam. Pamiętam dobrze, że przyjechali oni transportem 8 grudnia 1939 roku, w bardzo mroźny wieczór.

Mój mąż, mający naturę społecznika, szybko zajął się organizowaniem dla nich pomocy. Ja postanowiłam wziąć pod szczególną opiekę panią Jaworską z dziećmi, z których młodsze miało zaledwie dwa miesiące. Wysiedleńcy z Wielkopolski, jak nam później opowiadali, jechali ze swych miast na Kielecczyznę przez prawie tydzień, w nie opalanych wagonach. Niemcy, przy wsiadaniu, odebrali im brutalnie wszystkie walizki, które wpierw pozwolili zabrać. Matki małych dzieci nie miały nawet pieluszek, aby dzieci swe przewinąć. To dwumiesięczne dziecko pani Jaworskiej chyba cudem przeżyło tę podróż.

Mijały dni. Mąż nadal pracował w szkole, ale wraz z innymi już na jesieni 1939 roku przystąpił do organizowania w Białaczowie i okolicy akcji podziemnej. Był to ZWZ – Związek Walki Zbrojnej, przekształcony później w Armię Krajową. Mąż przybrał pseudonim „Margas” i przyjął powierzoną mu funkcję komendanta placówki.

Pamiętam dobrze moją rozmowę z mężem, kiedy zastanawialiśmy się, czy mamy oboje do organizacji należeć. Doszliśmy zgodnie do wniosku, że ze względu na dzieci, będzie lepiej jeśli jedno z nas nie będzie ściśle związane z akcją podziemną. Mówiliśmy sobie, że jeśli jedno z nas padnie ofiarą – drugie zostanie dla dzieci.

Nie znaczyło to oczywiście, że miałam uchylać się od współpracy, ale oficjalnie nie miałam nigdzie figurować, nie otrzymałam żadnego pseudonimu. Często nasz dom odwiedzali różni ludzie, znajomi i całkiem obcy. Nie pytałam ich o pseudonimy, o to o kogo przychodzą i skąd. Często przynosili paczki, które przekazywałam później równie anonimowym odbiorcom. Niejednokrotnie mąż przynosił papierosy z ustnikami, a w nich ukryte bibułki z zaszyfrowanymi rozkazami, które w wielkim trudem rozszyfrowywałam razem z nim, używając do tego szkła powiększającego. Często krążyły gazetki wszelkiego rodzaju, często przynoszono też wiadomości ze stacji radiowej nadawczo-odbiorczej zainstalowanej w okolicznych lasach przez „Watta” – Stanisława Pasierbińskiego, docenta Uniwersytetu Warszawskiego i asystenta prof. Pieńkowskiego.

Teren dla oddziałów leśnych AK był bardzo korzystny, gdyż Białaczów jest położony wśród wielkich lasów, które ciągnęły się do lasów spalskich i w drugą stronę po Przysuchy.

Białaczów, osada licząca około dwóch tysięcy mieszkańców, miała pałac należący do rodziny Platerów. Pałac ten zajęli i przeznaczyli na swą siedzibę Niemcy, obwarowali się tam i nocą obawiali się stamtąd nosa wysunąć. Toteż często zdarzało się, że oddziały leśne śmiało wkraczały w nocy na teren osady, zaglądały na folwark, zaopatrywały się w żywność i spirytus z gorzelni – i odchodziły równie cicho jak nadeszły.

Treuhändlerem (powiernikiem) był w tym czasie pan Kobyliński (wysiedlony z okolic Obornik). Mówił wspaniale po niemiecku, miał przydzielony do swego użytkowania samochód, żył w dobrej komitywie z Niemcami, ale mimo to bardzo pomagał Polakom.

Jednego razu padło podejrzenie, że jest on na usługach niemieckich. Nie pamiętam jaki do tego dał powód, ale wiem, że w organizacji toczyła się groźna dla niego dyskusja: postanowiono wykonać na nim wyrok. Strasznie to nami wstrząsnęło, gdyż znaliśmy go raczej z dobrej strony. Spory trwały długo, aż wreszcie zdecydowano, aby jeszcze raz zbadać sprawę dając mu sposobność okazania właściwego oblicza.

Jednej nocy oddział partyzancki zajechał pod dom, w którym mieszkał. Zapukano do drzwi i na pytanie – kto tam? odpowiedziano, że partyzanci AK, że proszą o wpuszczenie do środka. Drzwi zostały otwarte przez pana Kobylińskiego, który zapytał czego żądają. Zażądali kilku koni i owsa. Pan Kobyliński bez sprzeciwu spełnił żądanie niespodziewanych gości,

dołączając też żywność dla „chłopców”, a widząc jak przybysze są zmarznięci i wynędzniali – poczęstował ich kolacją. Zapytał jednak również, czy wiedzą jak bardzo go narażają i co może go spotkać. Odpowiedzieli, że zdają sobie sprawę z tego i chcąc go uchronić przed ewentualnymi konsekwencjami, pozwalają mu po piętnastu minutach od ich odejścia zadzwonić do oberleitera i zawiadomić go, że partyzanci pod groźbą broni zabrali konie i żywność, i odjechali. Tym, że nie odegnał partyzantów od drzwi uratował swój honor i życie.

Dużo mogłabym mówić na temat różnych akcji partyzanckich, o niemieckich zbrodniach, morderstwach, aresztowaniach, rozstrzelaniach i równaniu z ziemią spalonych wraz z ludźmi wsi – np.. wioski Sobień czy Skronina, ale chcę przejść do spraw bliżej ze mną związanych.

Trwaliśmy z mężem na posterunku do maja 1943 roku. Wtedy nastąpiła wpadka.

W sąsiedniej wsi – Parczowie, oddalonym od Białaczoza o dwa kilometry, pewnego dnia pojawił się... kominiarz. Przyjechał rowerem, w kominiarskim cylindrze. Nie znano dotychczas tego osobnika w tamtych okolicach, zaczęto się więc wokół niego tłumnie gromadzić. Opowiadał, że jest wysiedlonym z Poznańskiego, biednym, poszkodowanym... Szybko okazano mu współczucie i zaufanie, narzekał bowiem na Niemców, do czego i ludzie się dołączyli. Znalazłszy poklask, zaczął zachęcać miejscowych, aby utworzyć w tej wsi oddział partyzantki i nie zwlekając zaczął spisywać tych, którzy by do organizacji wstąpili. Podawano nazwiska bez obawy, a gdy zapytał kogo wybraliby na dowódcę oddziału – padło nazwisko mego męża. – Cóż się okazało? Był to nasłany celowo szpieg niemiecki, który podał do gestapo listę nazwisk.

Parę dni później nastąpiły aresztowania. Z Parczowa zabrano wszystkich, którzy byli na liście. Mąż cudownie ocalał dzięki „granatowemu” policjantowi. Był to komendant policji – Józef Wiśniewski, który kilka dni przedtem przybył do Białaczoza, ale sam jako członek AK był zorientowany kogo w razie niebezpieczeństwa ma ostrzec. Gdy więc gestapo przyjechało na posterunek policji i zażądało do asysty policjanta, ów komendant, idąc po niego, zdołał zawiadomić żonę, aby nas ostrzegła. Miała biedaczka kłopot, bo nie знаła naszego adresu, zdążyła jednak na czas i mąż na parę minut przed nadejściem gestapo zdążył umknąć.

Teraz zaczęły się koszarne chwile. Mąż, nie mając „lewych” dokumentów, nie mógł wyruszyć gdzieś dalej; ukrywał się więc w lesie, w coraz to innym rejonie. A gestapo krążyło. Wpadali do naszego mieszkania niespodziewanie, nie bacząc na porę – w dzień i w nocy. Ja i syn mój, szesnastoletni Zbyszek, jako najbardziej narażeni na represje, musieliśmy się ukrywać. Tropili patrolami po okolicznych polach, penetrowali inne mieszkania. W cywilnych ubraniach, podawali się za akowców, których to „Wicher”, „Grzmot” lub „Burza” przysłał, by *przeprowadzić poszukiwanego przez Niemców w bezpieczne miejsce*. Koniecznie chcieli skontaktować się ze mną, naznaczali spotkanie pod lasem, na miedzy itp.

W tych trudnych momentach pomocą służyła mi organizacja, która badała wszystko, zajęła się mężem, wyrobiła mu dokumenty i wyprowadziła do Warszawy.

Po dwóch tygodniach wszystko przycichło. Przynajmniej takie były pozory. Syn również dostał się do Warszawy. I ja wyjechałam z Białaczoza i przez pół roku wpadałam do domu tylko co jakiś czas, na parę minut, aby zobaczyć moje córeczki – Rysię i Bożenkę. Kiedy stwierdziłam, że już nie grozi mi niebezpieczeństwo – wróciłam. I wtedy zjawili się, niespodziewanie, znów pytając o męża. Cud, że mnie wtedy nie zabrano. Był to jednak sygnał, by nie prowokować, nie kusić losu... Więc znów przez pół roku ukrywanie się, nocowanie poza domem, wieczny strach o męża, o którym „nie zapomniano” i strach o dzieci. Aż nadszedł 26 maja 1944 roku.

Poprzedniego dnia przyjechałam z mojej rodzinnej Warszawy, a wieczorem zgłosiła się do mnie żona pułkownika Muzyki, który był w niewoli i tam został rozstrzelany. Przyniosła mi mundur swego męża, po który następnego dnia miał się zgłosić ktoś od „chłopców z lasu”. Gdy więc rano, 26 maja obudzono mnie wiadomością że dom jest obstawiony przez Niemców,

zerwałam się szybko, chwyciłam mundur, z wielką siłą poprułam go „po szwach” i okryłam wśród różnych gałganów. Za chwilę Niemcy byli u drzwi. Zostałam aresztowana.

Nie byłam jedyna. Wraz z trzema kobietami przewieziono mnie do Tomaszowa Mazowieckiego i tam osadzono w więzieniu przy ul. Św. Antoniego.

ŚLEDZTWO

Czerwiec 1944 roku. Już tydzień mija od mego aresztowania. Tydzień strasznego oczekiwania na śledztwo, tydzień nie przespanych nocy i okropnych dni, podczas których słyhać co pewien czas warkot samochodu, a następnie wywoływanie nazwisk i szczeł kluczy w zamku celi skąd wypuszczają wywołanego więźnia. Przy każdym odgłosie przejeżdżającego samochodu ogarnia mnie straszne przerażenie – serce zamiera, krew zdaje ucieka gdzieś zupełnie i tylko słuch staje się ostrzejszy. Chwilami myśl – rzucić się głową ścianę i rozbić ten swój łeb. Niech już nie myśli nic, niech nie przeraża, nie żyje. Ale zaraz chwila zastanowienia – a może przeżyję wszystko, może wróć? Przecież w domu zostały dzieci, przecież mąż mój chory, beze mnie rady sobie nie da...

Wszystkie więźniarki z mojej celi chodzą do pracy: drą pierze, szyją. Ja jestem ciężko obciążona politycznie. Mnie z celi wychodzić nie wolno. Modlić się nie mogę, a w bezczynności dzień wlecze się strasznie. Cella nasza nr 7 mieści się naprzeciw drzwi wejściowych. Judasz jest nieszczęsny, toteż przez małą szparkę widać zajeżdżające samochody i wchodzących gestapowców, którzy kierują się do kancelarii. Widać też więźniów wyprowadzanych i wracających. Zwykle na śledztwo biorą po czterech. Po kilku godzinach wracają – czasem wszyscy, czasem tylko część. Co z resztą – nie wiadomo. Albo zostają na owym sławnym „Zapiecku tomaszowskim” na głódówkę i dalsze śledztwo, albo czasem nie mogą przeżyć nawet jednego badania.

Aresztowano nas 26 maja. Dzisiaj czwartek 1 czerwca. Znowu zajeżdża auto. Znowu strach, nie dający się niczym opisać! Słyszę nazwiska z naszej grupy - nazwiska mężczyzn. O Boże, a więc zaczyna się! Dziś, jutro nadejdzie moja kolejka! Teraz oczekiwanie, straszne, przerażające oczekiwanie: czy wrócą i ilu z nich wróci? Tłukę się po celi tam i z powrotem, i myślę o wszystkim, co mnie czeka. Myśli kłębią się, przewalają, jedne straszniejsze od drugich, nad wszystkim góruje jedna myśl: trzymać się i nie załamać, nie powiedzieć nic, co by mogło zaszkodzić innym.

Godziny wloką się powoli. Wtem słyszę sygnał trąbki i warkot samochodu. Przywieram okiem do judasza. Widzę mężczyzn, wchodzą. Są strasznie bladzi i zmienieni na twarzach. Wprost trudno ich poznać. Dwóch, ślaniając się, ledwo powłóczy nogami. Dwaj inni podtrzymują ich. Już wiem co to znaczy. Musieli być bardzo zbici na śledztwie.... Za chwilę wywołują nazwiska. Cała truchleję! O Boże, oby jeszcze nie moje. Niech jeszcze dni parę mam zwłoki. Albo może lepiej prędzej niech wezmą bo z tego oczekiwania zwariuję chyba! Znow biorą czterech mężczyzn... I tak mija dzień. W nocy spać nie mogę. Wyobraźnia pracuje – zdaje mi się, że mnie pytają... Układam sobie odpowiedzi...

Rano jestem jak oczadziąta: głowa mnie boli i wszystko wiruje przed oczami. Przynoszą kawę, zaczynamy pić. Przerywa nam odgłos trąbki samochodu, który zajechał przed więzienie. Rzucamy się do drzwi, patrzymy, nasłuchujemy. Z samochodu wychodzi Boettig, znany oprawca Zapiecka.

14 października 1971 roku w Tomaszowie Mazowieckim odbyła się wizja lokalna grupy sędziów, prokuratorów, obrońców i sędziów przysięgłych Sądu Krajowego w Darmstadt (NRF), w sprawie zbrodni hitlerowskich popełnionych na Polakach. Głównym oskarżonym był Georg Boettig, morderca wielu osób.

Wchodzi do kancelarii i po chwili klucznik wywołuje nazwiska. Pada i moje. Odkrzykuje numer celi. Zgrzyt klucza w zamku, stuknięcie skobla i... wychodzę na korytarz, cała zmartwiła. Zabierają nas: cztery kobiety i kilku mężczyzn. Jesteśmy wtłoczeni w dwa samochody, małe taksówki. Jadę znaną mi drogą ulicą św. Antoniego.

Skręcamy w ulicę Bartosza, a potem na Zapiecek. Tydzień temu nocowałam na Bartosza u mojej znajomej. Opowiadała mi, że często z Zapiecka dochodzą do jej mieszkania jęki katowanych. – Boże, mój Boże, czy i mnie to spotka, czy i mój głos doleci do jej uszu?

Wprowadzają nas do celi w podziemiach. Wszystkich razem: dziesięciu mężczyzn i cztery kobiety. Najpierw „badają” mężczyzn. Zabierają ich po kolei. Badania trwają krótko i są mniej ważne. Wszyscy wracają z powrotem. W badaniu czuje się pośpiech. Za każdym razem przychodzi Boettig, gwizdząc nonszalancko jakieś tango...

Właśnie znów nadchodzi, klucz zgrzyta, skobel opada, słychać moje nazwisko. Zdejmuję płaszcz i idę. Boettig idzie z tyłu i tylko mówi, gdzie skręcić, w które drzwi wejść. Idziemy po schodach na górę, wchodzimy do niewielkiego pokoju. Przy stole siedzi wysoki, szczupły Niemiec. Boettig siada naprzeciwko, ja stoję i czekam. Boettig jest mężczyzną dość wysokim, barczystym, tęgim. Twarz, nalana, ma drwiący wyraz. Rozkłada przed sobą papiery i rozpoczyna serię pytań.

Najpierw personalia. Mówię wyraźnie. Notuje i po niemiecku zwraca się do Niemca siedzącego za biurkiem, może z poleceniem, by dalej sam zapisywał. Następnie dochodzi do „sedna”. Padają pytania: - *Gdzie pani mąż? z kim się spotykał? kto u niego bywał? z czyjego rozkazu był aresztowany? kto był po niego – my, gestapo, czy żandarmeria? kto mu wyrobił dokumenty? kto dostarczył bieliznę, ubranie itp.? Proszę mówić prawdę – dodaje groźnie – my i tak dobrze wiemy jak wszystko było i jaką ważną funkcję pełnił pani mąż...* Odpowiedzi moje coraz bardziej mu się nie podobają. Na twarzy ukazuje się wściekłość.

- *Nie powie pani? To my panią zmusimy...* Z tymi słowami wstaje, podchodzi do szafy, otwiera ją... Na widok leżących tam bykowców zaćmiło mi się w oczach. Boettig chwilę zastanawia się, potem wyjmuje z szafy drąg długości metra i grubości ręki w przegubie, oraz skórzany pas i pleciony bykowiec, zakończony luźnymi rzemieniami z żelaznymi haczykami. Podchodzi do mnie i każe mi wyciągnąć przed siebie obie ręce.

Stoimy naprzeciw siebie – mężczyzna jak tur, wysoki, barczysty, tęgi, lat 28-30, i ja, kobieta czterdziestoletnia, szczupła, wymizerowana, ważąca najwyżej 47 kg. Boettig, znów gwizdząc jakąś melodię, spina mi pasem w przegubie jedną rękę, potem do niej przytwierdza silnie drugą. Momentalnie obie ręce drętwieją sinieją a żyły nabrzmiwiają. Potem drugi moment przygotowań do katowania: każe mi usiąść na podłodze i skrępowanymi rękami opleść kolana. Następnie pod kolanami przeciąga ów gruby drąg.

Jestem zupełnie unieruchomiona, obezwładniona! W duszy szepczę z rozpaczą: - *Matko Boska, ratuj, dodaj sił, daj wytrzymać...* Boże mój, Boże jedyny... Boettig podchodzi do stołu, bierze bykowiec, zbliża się do mnie, chwyta za drąg i przewraca mnie twarzą do podłogi. Zamykam oczy i w tej chwili słyszę świst bykowca i straszne, bolesne uderzenia. Przez chwilę nie krzyczę, zaciskam wargi, czuję krew w ustach. Po chwili nie wytrzymuję bólu i mimo woli

zaczynam krzyczeć. Boettig bije z całej siły, bezlitośnie. Uderzenia są coraz straszniejsze, piekące, zdaje się, że ciało odrywa mi się od kości.

Boettig przerywa egzekucję i znów zaczyna zadawać pytania, wciąż te same. I ja to samo odpowiadam, stale nie po jego myśli. W pewnym momencie podchodzi do mnie i kopie mnie w twarz. Zdawało mi się, że kość pękła, zahaczało mi w głowie, zawiroowało... Ale i to wytrzymuję. Mój oprawca wraca więc do przerwane go na moment katowania. Stopniowo zaczynam zatracać świadomość. O ile pierwsze uderzenia były tak strasznie bolesne – teraz czuję, jakby te razy spadały na mnie „przez coś grubego”. Tylko w głowie mi się mąci, czuję jak krew odpływa mi z twarzy, robi mi się słabo. Siłą woli chcę utrzymać świadomość tego, co się dzieje. - Boże, dopomóż... żeby tylko nie zemdleć!... W pewnej chwili słyszę, że siedzący przy biurku Niemiec coś mówi... Boettig przerwał bicie wściekłym warknięciem: - *Jeszcze-ta-nam sama powiesz, cholero!* Rozwiązał mnie i kazał wstać.

Nie miałam siły. Było mi słabo, wszystko wirowało przed oczami... Z trudem się podniosłam i chwiejąc się na nogach, nie mogłam przez moment chwycić równowagi... Na podłodze spostrzegłam bryłę krwi. Mogło być dobre pół litra... Trzymałam się ściany, aby upaść. Nogi mi drżały, nie mogłam ustać. Za chwilę Boettig przyniósł ścierkę i kazał zetrzeć krew i splukać ścierkę w zlewie. Wtedy dopiero zauważyłam w kącie pokoju kran. To mi dodało siły. Zebrałam krew z podłogi i podeszłam do zlewu. Siłą woli trzymałam się, aby nie upaść. Nie chciałam, aby mój oprawca miał jeszcze jeden przyjemny dla siebie widok. Puściłam wodę z kranu, nabrałam na rękę i napiłam się ukradkiem.

Ta odrobina wody była zbawieniem dla mnie, otrzeźwiła mnie. Dopiero wtedy spostrzegłam, że to z mojej ręki sączy się krew, spadając szybkimi kroplami na podłogę. Okazało się, że miałam rękę rozciętą w trzech miejscach. Jedna rana, widocznie z przeciętą tętnicą silnie broczyła i przez cały dzień i noc nie można było krwi zatamować. Okazało się też potem, że od stóp do głowy byłam sina, koloru wątroby, a skóra na nogach w kilku miejscach była przecięta.

Po śledztwie sprowadzono mnie z powrotem do podziemia, ale już nie wróciłam do celi skąd mnie wzięto. Boettig wprowadził mnie do celi, gdzie leżał mężczyzna, młody chłopiec. Był bardzo blady, wprost przezroczysty, chudy i tak słaby, że z trudem podniósł głowę, aby zobaczyć kto wszedł. Okazało się, że był to więzień, od którego w śledztwie nic wydobyć nie mogli i biedaka zbitego, skatowanego, trzymali w tej celi już tydzień na głodówce. Raz dziennie otrzymywał słonego śledzia... Na jego widok napełniona byłam przerażeniem, że widocznie mnie również zostawią tu na głodówce, a wtedy rozpacz mnie ogarnęła - mogę stracić przytomność i powiedzieć coś, czego bym potem nie mogła sobie darować.

Na szczęście Bóg czuwał nade mną i po pewnym czasie przewieziono mnie z powrotem do celi więzienia na św. Antoniego. Zbolała, cierpiąca fizycznie i moralnie, chodziłam po celi i coraz częściej przychodziło mi na myśl rozbić głowę o mur. Gorączka mnie paliła strasznie, ból okropny, piekący napełniał całe ciało, nogi mdlały, a nie mogłam położyć się ani usiąść.

Serdeczne współczucie okazały mi moje współtowarzyszki niedoli. Nie zwracając uwagi na to, gdzie się znajdują, przeklinały Niemców i ich barbarzyństwo. Jedna z nich, Jolanta Niedzielska z Łodzi, swoją zapasową koszulę porwała na części i obandażowała mi wciąż krwawiącą rękę. Siedziała też z nami volksdeutschka Stecowa z Tomaszowa Mazowieckiego; wyprosiła ona u strażników trochę wody i maczając w niej kawałki płótna, okładała nimi moje zbite ciało, które paliło jak ogień.

Po śledztwie minęło kilka dni. Nadszedł wtorek, 13 czerwca, dzień patrona naszego więzienia. Dziwny ruch panował w więzieniu od rana. Czuliśmy, że trwają do czegoś jakieś przygotowania; przeczuwaliśmy transport. Więźniowie bardziej obciążeni, których czekało jeszcze śledztwo na Zapiecku, wzdychali, aby zaliczono ich do transportu. Łatwiej – mówiono –

przetrzymać obóz, niż tomaszowskie więzienie. Jedna z tomaszowskich więźniarek, Neuman, dwa razy była na śledztwie. Pierwszy raz bili ją tak mocno, że cała była sina i spuchnięta. Kilka dni później znów zawieziono ją na Zapiecek i znów bito. Spuchnięte ciało nie wytrzymało uderzeń, pękło w kilku miejscach. Każda rana była głęboka na trzy palce i szeroko rozwarta. Ropiała i cuchnęła okropnie. Nie było żadnych środków opatrunkowych, nie było czym ran obmyć, zawinąć. Ona tak strasznie chciała jechać... Niestety, nie wywieziono jej wtedy i dopiero po sześciu tygodniach przybyła do Ravensbrück.

Tymczasem rzeczywiście szykuje się transport i krąży wersja, że zostaną zwolnieni zakładnicy, którzy już osiem miesięcy siedzą w więzieniu. Było ich trzydziestu – jest tylko czterech. Reszta została rozstrzelana za różne incydenty sabotażowe, prawdziwe i „urojone”.

Nadchodzi wieczór, wyprowadzają nas wszystkich na korytarz. W celach zostają ci, co nie jadą. Czytają nasze nazwiska i nazwiska zakładników. Z czterech zakładników jeden zostaje zwolniony, trzech „w drodze łaski” zostają odesłani do obozu pracy w Gross-Rosen. Wyprowadzają nas na podwórze więzienne. Jest siódma wieczór, pogoda cudowna, niebo bez chmurki. Rozdają nam na drogę po pół bochenka chleba. Podjeżdża platforma samochodowa, na którą wchodzimy po pochyło i dość stromo przystawionych do niej deskach. Mężczyznom krępują sznurkami założone do tyłu ręce, co utrudnia im wejście na platformę - spadają przewracają się. SS-mani wymyślają nam, klną, pokrzykują, biją mężczyzn kolbami.

W końcu siedzimy wszyscy na platformie – czterdziestu mężczyzn i sześć kobiet. Wyjeżdżamy za mury więzienne. Na ulicach Tomaszowa ruch ożywiony. Patrzymy na domy, na przechodniów... Czy wrócimy tu jeszcze?

Wyjeżdżamy za miasto, gdzie przed nami rozciągają się pola. Na nich cudne zboża. Kłosa kołyszą się z lekka za podmuchem wiatru. Na widok tych pól, zbóż, na widok tych zieleniejących drzew przy drodze, łzy napływają nam do oczu. Płacemy serdecznie łzami rozpacz. W taki piękny dzień poszłybyśmy z naszymi dziećmi na spacer, a tymczasem...

Dojeżdżamy do stacji. Na bocznicę ładują nas do wagonu towarowego. Pierwsi wchodzi mężczyźni; tak im niewygodnie ze skrępowanymi rękami. Związane silnie sznurkiem zsiniały, opuchły. W drodze, bliżej siedzącym mężczyznom rozluźniamy więzy, korzystając z okazji, że SS-mani wychodzą z wagonów na perony. Jedziemy w kierunku Skarżyska, w nieznanie nikomu z nas jutro.

TRANSPORT - RAVENSBRÜCK

Jedziemy trzy dni i trzy noce w towarowych wagonach. Najpierw Skarżysko. Tam dołączają transport z Radomia. Potem Kielce - nowy napływ więźniów. Z Kielc, kolejka jednotorową, prowadzącą przez rozległe wysokie lasy, jedziemy w kierunku Częstochowy. Przez zakratowane okienko i szpary w ścianach wagonów obserwuję trasę. Wzdłuż torów, po obu stronach, co pewną odległość stoją policjanci z karabinami skierowanymi w stronę lasu. To ochrona przed ewentualnym napadem partyzantów na pociąg, którzy chcieliby odbić więźniów. W Częstochowie – Stradom do naszego transportu jeszcze raz zostają dołączeni nowi więźniowie. Są z Częstochowy i Piotrkowa.

Wreszcie 16 czerwca dojeżdżamy do Ravensbrück. Brutalnie wyrzuceni z wagonów stoimy jakiś czas na małej stacyjce. Potem prowadzą nas do obozu. Zbliża się wieczór. Widzimy mury z drutami kolczastymi i bramę z napisem *Arbeit macht frei* (praca czyni wolnym). Z różnych stron w kierunku bramy idą ku nam robocze komanda. Kobiety, ubrane w pasiaki, w białych chusteczkach na głowach, kroczą sprężysto, śpiewając jakieś niemieckie piosenki. Przy

każdej kolumnie - *aufseherka* (dozorczynie). Spoglądamy po sobie lekko zdziwione - tu chyba nie jest tak źle, skoro im jeszcze chce się śpiewać! Dopiero po jakimś czasie dotarła do nas prawda, ile wysiłku kosztował taki marsz ze śpiewem i jakie były konsekwencje, gdy ktoś temu nie mógł sprostać.

Wchodzimy na teren obozu – czyste baraki, przed nimi kwitnące szalwie, trochę trawy. Nie wiemy jeszcze, że te „czyste” bloki roją się od wszy i pluskiew, że panują tam świerzb i inne choroby. Przed *waschraumem* (umywalnią) stoimy do późnej nocy, wciąż narażone na krzyki i poszturchiwanie *aufseherki*.

Wreszcie usiłują nas wprowadzić, czy raczej wtłoczyć do jakiegoś pokoju, usiłują – piszę – bo grupa nasza liczy 66 osób, a pomieszczenie jest niezmiernie ciasne. Obarczone pakunkami zabranymi z więzienia, upychamy się gdzie popadnie – na stole siada kilka, reszta kuli się na podłodze. Wtłoczone tam nie możemy się pomieścić. Okno jest szczelnie zamknięte. Po jakimś czasie robi się więc tak duszno, że trudno oddychać. Niektóre mdleją. Ze strachem ostrożnie uchylamy okno – oby tylko nikt nie zobaczył.

Od następnego ranka zaczyna się przyjęcie do obozu. Przechodzimy przez kontrolę. Z dużego pomieszczenia wywołują kolejno po jednej osobie do następnego pokoju. Tam zabierają nam wszystko, niektórym ścinają włosy „na zero” i wpędzają do łazienki. Kilka pryszniców z góry. Obsługują je same więźniarki – typy spod ciemnej gwiazdy – pod nadzorem *aufseherek*. Puszczają wodę raz zimną jak lód, raz gorącą, że parzy.

Po tej kąpieli dostajemy odzież: bieliznę, cywilne suknie z wymalowanymi olejną farbą krzyżami – z przodu i na plecach. Suknie wymieniamy między sobą aby dostosować do swego wzrostu i tuszy. Na nogi dają nam drewniaki-holenderki. Nie dla wszystkich starcza. Dostajemy też numery i *winkle* (trójkątne naszywki z literkami, oznaczającymi status więźnia. Litera P oznaczała narodowość polską). Nie mamy ich czym przyszyć do sukien, a przyszyte być muszą... Przydzielają nas wreszcie na blok 21. Na tym bloku przejdziemy kwarantannę. Blokowa, Czeszka - Olga, na szczęście okaże się bardzo szlachetna i dobra.

Zaczyna się codzienny los *Häftlinga*, świeżo przybyłego do obozu, los *Zuganga*. Ten okres jest straszny – głód, robactwo, ciasnota, co chwilę ktoś jest gdzieś wzywany, więc i niepewność – czy wróci? Wszędzie upodlenie, zabijanie człowieczeństwa. Wszechobecne krzyki, wrzaski *aufseherek*, za byle głupstwo – wypędzanie na apele. Badania lekarskie na rewirze – poniżające. Do każdego badania, nawet do przeglądu zębów – konieczność rozebrania się do naga. Stoją nagie tłumy w szeregach, a wśród nas przechadzają się SS-mani, zawsze z nieodłącznymi psami.

Po powrocie do bloku tłoczmy się w jadalni; „sypialnie” na dzień są zamknięte – nie wolno do nich wchodzić. Siedzimy więc w jadalni, która z trudem mieści 450 osób. Stołów jest kilka, stołków niewiele. Gnieźdzymy się na ziemi z podkurczonymi nogami i czekamy co dalej... Zabija niepewność każdej chwili, tęsknota za bliskimi, za wolnością. Myślimy tylko co z nami będzie?...

Podczas kwarantanny nie wolno nas zatrudniać – musimy pozbyć się, o ironio, wszelkich bakterii przywiezionych z wolności, aby nie zarazić nimi starych *Häftlingów*. Tymczasem tutaj uporczywie dokucza nam świerzb, który usiłuje się leczyć zlewając ciało wodą siarkową, która piecze i pali skórę.

W bloku zgromadzone są kobiety różnych narodowości. Skupiamy się „według nich” i staramy się sobie jakoś wypełnić czas. Opowiadamy różne przeżycia z przeszłości, filmy, które oglądałyśmy, przeczytane książki, mówimy jedna drugiej o swoich rodzinach, a po apelu porannym zaczyna się „obowiązkowe” opowiadanie snów i tłumaczenie, co mogą oznaczać. Korzystamy też ze znajomości języków obcych, konwersując z Niemkami, Francuzkami.

14 lipca Francuzki urządzają uroczystość. Ten dzień to dla nich dzień święta narodowego. Zsunęto stoły na środek, tworząc w ten sposób „scenę”. Wśród Francuzek znalazła się artystka baletu, która przy śpiewie swoich rodaczek wykonała jakiś taniec. Były też inne, które deklamowały wiersze, jeszcze inne śpiewały narodowe pieśni. Dzień ten utkwił mi w pamięci, bo był odskocznią od codziennych okropności.

Jedzenie w Ravensbrück było okropne. Jeden kilogram chleba na osiem osób, łyżka cukru lub podłej marmolady, czasem mały, podłużny kawałek margaryny. Na obiad, „szlachetny” – brukiew suszona, tak twarda, że pogryźć jej nie było można i tak gorzka, że z trudem wypijało się kilka łyków tej brukwianej wody, a wysaną brukiew wyrzucało się ukradkiem do ubikacji, tak by nie spostrzegła tego *aufseherka*.

Dowodem panującego w obozie głodu może być następujący obrazek: po wysaniu twardej brukwi, której ani kęsa przełknąć nie mogłam, szłam, aby ją wyrzucić do ubikacji. W pewnym momencie podbiegła do mnie Cyganka z bloku naprzeciwko, rozpaczliwie nagabując bym jej tę brukiew dała. Tłumaczę jej, że brukiew jest już wyszana, wypluta – nie miało to znaczenia; gwałtownie wyrwała mi miskę, wysypała jej zawartość do spódnicy i uciekła. Usiadła potem przed swoim blokiem i zachłannie pakowała do ust te zdawałoby się bezwartościowe kęsy włóknistej goryczy.

Wreszcie po pięciu tygodniach kwarantanny, gdy już zaczęliśmy się dostosowywać do warunków obozu, nadeszła wiadomość, że szykuje się transport do fabryki. Byliśmy już jako tako urządzone. Z transportu więziennego pozostał mi tylko grzebień, szczotka do zębów i parę główek czosnku, które mi zostawiono. Tutaj „zdobyło się” igły i nici, „zorganizowało się” sweter, chusteczkę, ręcznik itp. Teraz trzeba się z tym rozstać, bo wszystko nam znowu odbiorą.

Przychodzi dzień 20 lipca. Wzywają nas na rewir – idą tłumy z różnych bloków, bo transport do fabryki ma mieć dwa tysiące osób. Za rewirem placyk, gdzie zgromadziła się komisja, która wybierze kandydatki do transportu. Duża grupa SS-manów rozsiadła się pod murem, a przed nią defilują rozebrane do naga więźniarki. Przechodzimy pojedynczo, a oni z diabelskim, obleśnym rehotem, z wrzaskiem i wyzwiskami „przeprowadzają selekcję”.

Potem nie wracamy już do swojego bloku. Dostajemy nową czystą bieliznę i szare, więzienne sukienki, dają też nam nowe numery i *winkle*. Wprowadzają nas do innego bloku, gdzie mamy natychmiast przyszyć swe nowe „odznaki”. Jest późny wieczór. Potem czeka nas jeszcze niespodzianka – przynoszą kocioł z zupą. Pachnie przyjemnie. Kapuśniak! Dostajemy kubki, a w nie nalewają nam tę zupę. Jest dość gęsta, prawie pełny kubek, ale łyżki nie ma. Przechylamy kubki i pijemy, a potem palcami wyjmujemy kawałki kapusty. Byłaby dobra, gdyby była osolona. Ale jest tak mdła, bez odrobiny soli, że aż niedobrze się robi po jej zjedzeniu. Noc spędzamy w gorącu i zaduchu.

Na drugi dzień, 21 lipca, po apelu nasz dwutysięczny transport zostaje na placu. Jest niesamowity upał – żar leje się z nieba. Rano dostałyśmy kawę – obiadu nie ma dla nas. Jesteśmy bez miejsca w bloku, bez przydziału żywności. Miałyśmy jechać rano – tymczasem stoimy cały dzień. Wiele mdleje z gorąca i zmęczenia. Przysiadamy na rozżarzonej ziemi, ale przechodzące *aufseherki* wrzeszczą i każą stać. Dopiero pod wieczór niesamowicie zmęczone i głodne wychodzimy piątkami za bramę na stację kolejową, skąd wyjedziemy w dalsze nieznane jutro.

RAVENSBRÜCK – BUCHEMWALD – KOMANDO LIPSK

21 lipca 1944 roku zostałam przewieziona z Ravensbrück do Buchenwaldu w dwutysięcznym transporcie kobiet. Od razu skierowano nas na wschodnie przedmieście Lipska – Schönefeld i umieszczono w ogromnym gmachu na terenie wielkich fabryk zbrojeniowych firmy „Hassag”. Budynek był przeznaczony dla robotników fabrycznych – najpierw Niemców, a potem więźniów innych narodowości, przywiezionych do Niemiec z łapanek ulicznych. Opróżniono go przed naszym przybyciem i przygotowano dla nas. Ja dostałam się na początku na blok 1, do Wery (nazwiska nie pamiętam).

Od początku nieomal, oczekując na przydział do pracy w fabryce, zaczęły się wśród nas organizować różne grupy, które podejmowały pewne zadania. I tak, nie pamiętam z jakiej okazji to było – możliwe że to był dzień 15 sierpnia – na naszym bloku urządzono coś w rodzaju akademii. Koleżanki wygłaszały przemówienia, wiersze, a potem śpiewały pieśni, m.in. utkwili mi w pamięci „Mazur kajdaniarski”...

Dość szybko rozdzielono nas. Dostałam się teraz na blok 13, do Stefy Błońskiej. Tutaj już wyraźnie zaznaczyła się praca konspiracyjna. Było wśród nas sporo młodych dziewcząt. Dla nich organizowało się wykłady. Zajmowały się tym nauczycielki, chcąc z jednej strony dopomóc im zachować w pamięci to, czego się dotychczas nauczyły, z drugiej strony – aby nie dopuścić do upadku ducha, zatracenia nadziei... I mnie proponowano zajęcie się tą młodzieżą, ale niestety, po przebytych więzieniu i wyczerpującym śledztwie byłam wciąż chora i niewiele się w tej pracy udzielałam.

Organizowano też wieczory dyskusyjne, w których kilkakrotnie uczestniczyłam. Wszystko to odbywało się w bunkrach pod budynkiem, wieczorami, po powrocie z pracy, kiedy już zapowiedziano *Lagerschluss* (koniec obozowych obowiązków). Zbierałyśmy się tam z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, również przed więźniarkami „niepewnymi”. Wtajemniczone koleżanki przemykały się ukradkiem do miejsca przeznaczonego na spotkanie. Niestety, nie pamiętam już żadnych nazwisk, ani treści naszych zebranych dyskusyjnych.

Dla podniesienia ducha przygotowywano również różnego rodzaju przedstawienia. Było to już w okresie Bożego Narodzenia 1944 roku, gdy na apelu ogłoszono nam, że *wolno się śmiać, tańczyć i urządzać przedstawienia*. Rozpoczęły Polki urządzeniem pięknych jasełek, na które przybył nawet komendant obozu Johann Pflau i *aufseherki*. Była to część oficjalna, po ukończeniu której nasi „opiekunowie” opuścili *lager*, a wtajemniczeni zeszli się ponownie w podziemiach, gdzie odegrano „jasełka zakonspirowane”.

Opis ich mam u siebie. Ich tekst ułożyła jeszcze w Lipsku Maria Antonowicz – studentka polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, więźniarka Majdanka, po wojnie aktorka Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, a potem aktorka Teatru Polskiego w Poznaniu. Dekoracje zrobiła Jagoda, nazwiska nie pamiętam. (Oryginalny tekst tych jasełek, ozdobiony rysunkami, znajduje się w Muzeum Majdanka).

W tej „konspiracyjnej” wersji jasełek do żłóbka przychodziły kolejno wszystkie miasta polskie i składały Dzieciątku swój żal, ból i smutek. Każde miasto charakteryzował strój regionalny, a fragmenty wypowiedziano w gwarze danego regionu. Warszawa w czerni wypowiadała cierpienie całego narodu, prześladowanie i okrucieństwa niemieckie, ból, żal i smutek ginących za Polskę i ból tych, którzy patrzyli na cierpienia najbliższych.

Potem przyszły inne przedstawienia. Żydówki wystawiły „Uśmiech zza krat”. Francuzki urządziły pochód karnawałowy przez wszystkie bloki. Ubrane fantastycznie (stroje otrzymały z Kamery) niosły ulepione z gliny i udekorowane fusami od kawy wieżę Eiffle'a i Łuk Triumfalny. Rosjanki o północy na powitanie Nowego Roku 1945 przeszły przez korytarze, wołając *S nowym godom* i wrzucając do kolejnych bloków porcelanowe miski do jedzenia, które hałaśliwie tłukły się, a z tych skorup utworzyły się całe stosy. Patrzyłyśmy na to z pewnym przerażeniem,

spodziewając się kar i represji ze strony gestapowców. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu władze obozowe zbagatelizowały te noworoczne obchody. Zaczęłyśmy snuć wtedy przypuszczenia, że koniec Rzeszy bliski.

Od bodajże połowy stycznia przebywałam na bloku 3. Tutaj, dla podtrzymania ducha, co tydzień w niedzielę odbywały się nabożeństwa, które prowadziła Sabina – „Biskup” (tak ją nazywałyśmy, nazwiska nie pamiętam), albo tutejsza blokowa nazywana „Proboszczem” – Zula Schmidt.

Przypominam też sobie, że zorganizowana była opieka nad więźniarkami politycznymi. Poprzez kontakty z robotnikami wolnościowymi (wziętymi z łapanek) udało nam się dotrzeć do jeńców wojennych. Pewnego dnia jedna z naszych więźniarek, pracująca ma rewirze, wręczyła mi krople na serce i jeszcze jakieś lekarstwa, mówiąc, że otrzymała je od jeńca – lekarza wojskowego, z poleceniem wręczenia ich *jakiejś poważnie obciążonej politycznie więźniarce*, wobec czego mnie je przekazuje.

Budynek, w którym się mieściły nasze bloki był murowany, piętrowy; otoczony drutem kolczastym, oddzielającym nas od sąsiedniego pola, na którym znajdowały się baraki drewniane, w których przebywali więźniowie - mężczyźni. I dla nich organizowano pomoc, jedzenie przygotowywano w naszej kuchni. Kotły z zupą lub kawą przewoziły pod nadzorem esesmanów nasze więźniarki. Przy tej okazji postanowiono, aby więźniarki, które otrzymały paczki udzieliły coś braciom-więźniom.

Ktoś – i tu moja pamięć zawodzi – ale na pewno któraś z więźniarek pracująca w *Schreibstube* (kancelarii) zaproponowała mi wybór „podopiecznego”. Podała mi listę z nazwiskami. Wybrałam chłopca z Krakowa (z transportu krakowskiego), który miał 17 lat, urodzonego 28 kwietnia 1927 roku. Pamiętam tę datę, bo dzień urodzin był mego męża, a rok - rokiem urodzenia przeze mnie syna. Nazwisko i imię uleciało mi z pamięci. Ponieważ dostawałam dużo cebuli – głównie tym się dzieliłam. Kilka cebul i trochę sucharów (tych otrzymywałam bardzo mało), zawinięte w papier z napisanym na wierzchu nazwiskiem wręczałam tej, która miała to podać dalej. Wiem, że takich paczuszek poszło sporo, ale czy dotarły do adresata, czy przeżył, czy żyje – trudno powiedzieć, bo żadnej potwierdzającej odpowiedzi nigdy nie otrzymałam. Wiem też, że takich opiekunek było dużo, a paczuski przewoziły jadące z kotłami.

To, że mogłam się czymkolwiek dzielić zawdzięczam mojej kuzynce, Irenie Romalskiej, właścicielce apteki, mieszkającej w Koziegłowach k. Częstochowy. Dzięki jej wielkiemu sercu docierały do mnie nie tylko kartki pocztowe ze słowami otuchy, ale i skromne paczki.

Jak wspominałam, pracowałyśmy w fabrykach zbrojeniowych firmy „Hassag”. Ja w fabryce „Ra-es” przy wypalaniu gilz do pocisków, a potem przy ich stemplowaniu, przy wielkich ciężkich maszynach. Na początku, po naszym przybyciu, praca szła „na całego”.

Przerabialiśmy nasz polski złom. Pewnego razu przy mojej maszynie postawiono skrzynkę z napisem *Schmeltz Tschenschtohau*. Przerabiając to żelastwo starałyśmy się, aby rzeczywiście tego już przerobionego „szmelcu” było jak najwięcej. W pakowanych przez nasze więźniarki skrzynkach, które szły na front, tak wiele nieraz było szmelcu, że zwracano go do ponownego przerobienia.

Za „dobrą pracę” wydawano bony, za które można było coś kupić w kantynie obozowej. Wiem, że wśród Polek bardzo mało było takich, które bony otrzymywały, a jeszcze mniej takich, które te bony przyjęły.

Praca w fabrykach była bardzo ciężka, toczyła się nieprzerwanie na dwie dwunastogodzinne zmiany. Na ranną zmianę budzono nas o czwartej godzinie. Dostawałyśmy kubek kawy. Chleb był wydawany poprzedniego dnia. Wypijałyśmy szybko kawę i ustawiałyśmy

się przed blokiem komandami. Po apelu, który trwał około półtorej godziny, prowadzono nas do fabryki. Szliśmy piątkami, pod eskortą esesmanów, psów i *aufseherek*. W fabryce pracowałyśmy przez 12 godzin, z krótkimi przerwami o godzinie dziewiątej i o pierwszej po południu. Pracowałyśmy stojąc i uważając na bieg maszyny; nie wolno się było nawet oprzeć o nią. Po powrocie, oczywiście znów apel, który przeciągał się do dwóch godzin i dłużej, kubek kawy i kawałek chleba, no i *Lagerschluss*.

Stokroć gorsza była zmiana nocna, cięższa i dokuczliwsza. Na apel ustawiano nas o czwartej po południu, liczono, liczono i kwadrans przed osiemnastą prowadzono do fabryki. Pracowałyśmy do szóstej rano z dwiema 15-minutowymi przerwami. Po powrocie znów apel, który kończył się o ósmej, dziewiątej godzinie, kubek kawy, mycie i spanie, które było bardzo problematyczne, bo zwykle „na bloku” było głośno, a poza tym o dwunastej budzono nas na obiad i wydawanie przydziału chleba. Ledwo się zorientowałyśmy, była szesnasta, czas na apel i wymarsz do fabryki. Niewyspane, głodne, zmęczone stawałyśmy półprzytomne, chwiejąc się na nogach, do ponownej pracy.

Nasze wyżywienie. Na początku, po przybyciu naszym do Lipska przydziały chleba były znośne: jednokilogramowy bochenek na cztery osoby. Potem taki sam bochenek trzeba było dzielić na osiem, wreszcie na szesnaście, w końcu dostawałyśmy dosłownie po plasterku chleba. Do chleba dodawano raz łyżkę cukru, raz łyżkę marmolady lub cienki kawałek margaryny, albo - co bardzo rzadko - plasterek kiełbasy.

Z biegiem czasu, wraz ze zmniejszaniem się przydziałów chleba, zmniejszały się i inne dodatki, aż wreszcie i te racje zupełnie ustały. Przez ostatnie dwa miesiące pobytu nie było już żadnego przydziału chleba. W południe dostawałyśmy zupę, niby kartoflaną, lub gotowaną kapustę, w której od czasu do czasu znajdowały się strzępki konserw mięsnych. Czasem dostawałyśmy rzadką kaszę mannę, w której pływały kawałki rabarbaru. Tę zupę uważałyśmy za przedni rarytas. Z czasem i zupy się pogarszały, a porcje zmniejszały się. Doszło do tego, że w zupach tych pływały gotowane zgniłe buraki lub zgniła brukiew, a w najlepszym wypadku obierzyny z ziemniaków. Zupy te były wprost nie do jedzenia. Cuchnęły tak okropnie, że na sam zapach zbierało się na torsje. Widok ich przypominał wodę z kałuży, w której pływały śmieci.

Okropną mękę sprawiały nam pluskwy, które gnieździły się w siennikach, wypełnionych startymi na proch wiórami oraz w szparach naszych piętrowych łóżek. Z nastaniem nocy atakowały nas całymi masami, wypijając krew i nie pozwalając na sen.

Nieraz w niedzielę po powrocie z nocnej zmiany polecano nam przez cały dzień do późna w nocy porządkować bloki, żeby oczyścić je z robactwa. Zmęczone po pracy nocnej, utrudzone do ostateczności porządkowaniem bloku, kładłyśmy się na prycze, aby ponownie po nocy nieprzespanej z powodu żarłoczności pluskw, wstawać znów o czwartej nad ranem na dzienną dwunastogodziną zmianę.

Co najdotkliwiej odczuwało się w naszym komando Lipsk? Przede wszystkim ciągle niepewność zżerała nam nerwy. W każdej chwili można było wyjść z bloku i już do niego nie wrócić. Brak snu, ciągle zastraszanie nas przez zjawiające się niespodzianie *aufseherki* z esesmanami, głód, który z biegiem czasu coraz bardziej dawał się nam we znaki, ciągłe kontrole, rewizje, nie kończące się apele na mrozie, w deszczu czy śniegu, w zawieje, przed pracą i po pracy, kiedy zmęczone, nie mogące ustać na nogach, musiałyśmy stać jednak godzinami przed blokiem.

Pamiętam jeden apel trwający do późnej nocy, kiedy pozbawiono nas nawet odrobiny tej ciepłej, paskudnej kawy. Ukarano nas w ten sposób, bo ktoś przez okno krzyknął na przechodzącą *aufseherkę* „świnia”. Postawiono na apel wszystkie bloki, do chwili, aż przyzna się sprawczyni. Wreszcie o dziesiątej wieczorem oznajmiono, że ponieważ słowo „świnia” mogła

krzyknąć tylko Polka lub Rosjanka – na placu mają pozostać tylko bloki „polskie” i „rosyjskie”. Pozostałe mogą zejść z placu. Nasze współtowarzyszki Francuzki okazały solidarność: pozostały na miejscu, stały z nami do końca. Przy zejściu z apelu, dobrze po północy, zostało na placu wiele leżących, zemdłałych i zmarłych.

Przypominam też sobie jak jednego razu po wieczornym apelu w zimie, za jakiego przewinienie, przypuszczalnie za nie dość proste stanie podczas apelu, *aufseherka* kazała stać na mrozie jednej z więźniarek. Kiedy koleżanka przyniosła jej w kubku z bloku trochę kawy, strażniczka rozkazała innym więźniarkom oblać je wodą i teraz obu kobietom kazała dalej stać na baczność. Niestety, ani jedna, ani druga nie przetrzymała tego apelu.

Jak już wspomniałam, zajmowałyśmy duży blok murowany. Tuż za naszym terenem ogrodzonym drutem kolczastym, znajdowały się drewniane baraki obozu męskiego. Wiadomym nam było, że ci więźniowie pracowali na wolnym powietrzu, na dużych przestrzeniach, gdzie wypróbowywano jakieś pociski. Próby te były bardzo niebezpieczne. Pociski rozrywały się niejednokrotnie blisko wyrzutni, rozszarpując i raniąc biednych więźniów.

Muszę jeszcze wspomnieć o więźniarkach – Rosjankach. Część z nich miała status jeńców wojennych, zatem bezprawnie zostały umieszczone w obozie koncentracyjnym (o ile można tu mówić o jakimś specjalnym prawie wojennym – powinny być ewentualnie zesłane do obozów jenieckich). Te okazywały odwagę nieustraszoną. Gdy je skierowano do pracy w fabryce amunicji – odmówiły. I chociaż karano je bunkrem, głodówkami i pewnie innymi metodami – nie ustąpiły. Wreszcie skierowano je do pracy w kuchni.

Teraz parę słów o młodych mężatkach, przyszłych matkach. Było ich kilka. Na moim bloku trzynastym, u Stefy Błońskiej mieszkały Regina i Halina Sosnowskie. Pochodziły z transportu białostockiego. Halina, aresztowana wkrótce po ślubie, była w ciąży. Trafiła do wyjątkowo „ludzkiej” *aufseherki*, która zauważywszy jej stan, powierzyła lżejszą pracę. Kiedy jednak ciąży nie dało się już ukryć, Halina została wezwana i wkrótce wywieziona transportem w nieznaną. Regina, jej bratowa, błagała władze obozowe, aby ją także przydzielić do transportu; nie chciała rozstawać się z bratową. Nie spełniono jednak jej próśb, została w Lipsku.

Na bloku drugim, u Ludki Schmidt, była także więźniarka w ciąży (nazwiska nie pamiętam). Ukrywała swój stan, aż w lutym 1945 roku dowiedziano się o tym i jednej nocy zabrano ją do bunkra, gdzie urodziła dziecko. W tydzień później zabrano ją wraz z innymi matkami z niemowlętami, załadowano do towarowego wagonu, gdzie na podłogę wysypano z sienników starte na proch wióry z rojącymi się w nich pluskwami i wywieziono je sprzed naszych bloków.

Pogoda w tym dniu była okropna – zadyмка, wiatr przeraźliwy. Po kilku dniach kilka naszych obozowych więźniarek zostało wezwanych do zawiezienia „obiadu” na dworzec. Okazało się, że wagon z młodymi matkami stał cały czas na boczniczy. Oprócz jednej porcji chleba, którą otrzymały „na drogę”, nie dostały niczego więcej, nic do picia. Wiele istnień z tego macierzyńskiego transportu, tutaj na tej lipskiej kolejowej boczniczy, pożegnało się z życiem. Co stało się z resztą kiedy już transport odprawiono?...

Często odbywały się na Lipsk naloty. Z początku były mało groźne i właściwie nas nie przerażały, a przeciwnie i wręcz paradoksalnie, cieszyłyśmy się, gdy nadchodził nalot, bo spędzano nas wtedy do schronów pod fabryką zamykano i mogłyśmy chociaż na jakiś czas położyć się i zasnąć.

Wielki nalot 1500 bombowców nastąpił 28 lutego 1945 roku. Ten był straszny – trwał sześć godzin. W schronach pod blokami światło zgasło, ziemia drżała, ławki i podłoga wprost falowały pod nogami. Byłyśmy pewne, że z tego nalotu nie ujdziemy z życiem. Po tych sześciu koszmarnych godzinach, gdy nas wypuszczono ze schronów, zobaczyłyśmy cały Lipsk zasnuty

kłębamii dymu. Zbombardowany okropnie, palił się czas dłuższy. Na ziemi dookoła bloków leżały grubą warstwą rozrzucone ulotki.

Nasze przekonanie, że koniec Rzeszy jest bliski miał i inne podstawy – wkrótce zaczęto zwalniać nas z pracy, motywując to brakiem materiału do przerobu. Głód stał się teraz powszechny. W obawie przed buntami więźniów wzmocniono patrole esesmańskie. I naloty były coraz częstsze – alianci atakowali dniem i nocą. Razu jednego nad naszym blokiem rozpętała się prawdziwa walka powietrzna. Jeden z pocisków spadł i rozbił część naszego schronu. Zginęło kilka więźniarek, kilkanaście innych zostało rannych. Świat wokół nas walił się.

Pozbawione pracy, jedzenia, czujące zbliżający się koniec wojny, ale i mając tragiczne przeświadczenie o zbliżającym się końcu własnego życia, chore, nie mogące się prawie poruszać, zapełniałyśmy prycze rewiru, nie mając już najmniejszej nadziei na przetrwanie ostatnich chwil.

DROGA KU WOLNOŚCI

Dzień 13 kwietnia 1945 roku... Leipzig, fabryka „Hassag”, fabryki zbrojeniowe. Front amerykański tak blisko. Podobno czołgi wywiadowcze pojawiły się już na przedmieściach Lipska, ale z przeciwnego nam kierunku, a więc możliwe, że są oddalone od nas o około 8 kilometrów. My mieszkamy na przedmieściach Schönefeld, we wschodniej stronie miasta. - Żeby tylko nas zostawiono, żeby tylko Niemcy nie zechcieli nas ewakuować... To jest myśl, która teraz zaprzęta głowy nas wszystkich. Niestety, nasze marzenia nie spełniły się.

W nocy, z 13 na 14 kwietnia, o godzinie trzeciej, wyprowadzono nas z bloków. Wyszło nas sześć tysięcy kobiet i dwa tysiące mężczyzn. Ustawiamy się piątkami, każda dźwiga woreczek z zapasami żywności. Niektóre mają trochę sucharów z dawniej otrzymanych paczek, inne tylko cząstkę prowiantu wydanego na drogę – tzn. osiem podłużnych kawałków margaryny, bo ćwierć kilogramową porcję chleba zjadło się od razu. Przecież już od miesiąca nie widziałyśmy odrobiny pieczywa. Żyło się tylko półlitrem zupy ugotowanej ze zgnitej, skwaśniałej brukwi, zmielonej w młynku wraz z błotem i obierzynami z kartofli.

Wyruszamy... Nad nami noc ciemna, rozjaśniona łunami pożarów. Łuny przed nami, za nami, po bokach. Chwilami słychać warkot samolotów, huki... nowe słupy ognia wzbijają się w powietrze. Idziemy piątkami, trzymając się pod ręce, idziemy całą noc. Ja jestem chora, ostatni tydzień leżałam na rewirze i może powinnam była zostać. Zgłosiłam się jednak do wyjścia, bo bałam się, że jeśli wysadzą prochownię obok naszego łagru, to i my wylecimy w powietrze. - A przecież ja chcę żyć, chcę wrócić do domu, do męża, do dzieci...

Idziemy. Prowadzą nas bocznymi drogami, z dala od głównych szos, zapewne przepelnionych wojskiem i uciekającą ludnością cywilną. W pewnym miejscu dołączają do nas więźniarki z Tauchy – wiele Żydówek i Cygarek. Te ostatnie są zdziczałe jak zwierzęta. Idziemy do rana. Nogi nienawykłe do chodzenia, szybko zaczynają boleć, siły odmawiają posłuszeństwa, ale iść musimy, bo kto zostanie w tyle, kto iść nie może – zostanie rozstrzelany. Tak nam zapowiedziano na początku. Więc idziemy.

Dzień wstaje pochmurny, zimny. Robią nam krótki, może 15-minutowy odpoczynek i znowu: - *Los, los, weiter, weiter...* znowu w drogę, bez słowa sprzeciwu. - *Ruhig, ruhig!* To będą słowa, które słyszeć będziemy od towarzyszących nam *aufseherek* i SS-manów jak złowrogi refren.

Około trzeciej po południu, zatrzymujemy się w oddalonym od Lipska o ok. 17 kilometrów Wurzen. Odpoczynek przewidziano na łące, gdzie jest już moc zgromadzonej

ludności: więźniowie, jeńcy, robotnicy wolnościowi – wszyscy ewakuowani przymusowo na wschód. Odpoczywamy. Po zjedzeniu kawałka sucharka kładziemy się na ziemi i zasypiamy. Nic to, że ziemia mokra i zimna, jedna tylko chęć: zasnąć i odpocząć. Nogi tak strasznie bołą...

W pewnym momencie budzi nas warkot motorów. To nadlatuje eskadra samolotów angielskich. Lecą wysoko, słychać jedynie dudnienie, warkot, a chwilami błysnie jak gwiazdka kadłub samolotu, o który odbił się blask słońca. Wyteżamy wzrok i dostrzegamy z trudności samoloty lecące jedne za drugimi. Kierują się w naszą stronę, zniżają i zaczynają krążyć nad łąką. Obok przechodzi bardzo piękny około 300-metrowy wiadukt – czyżby chcieli go zbombardować? A może wzięli nas za wojsko? Nagle jeden z samolotów zaczyna pikować, wspaniale pruje w dół powietrze, zdaje się, że spada, a może... zrzuci bombę? Część ludzi rzuca się do ucieczki, ja z moją towarzyszką Sowiną silniej przytulamy się do ziemi i nakrywamy głowy kocem, inne więźniarki zrywają z głowy białe chustki i zaczynają nimi wymachiwać. SS-mani są tak przerażeni, że już nie reagują na ten odruch. Samolot opuścił się na pewną wysokość, zrobił krąg i wzbił się z powrotem niemal prostopadle ku górze. A więc to tylko obserwator!?! - Nie tylko. Po chwili, od strony dworca, w którego stronę podążyła eskadra, usłyszałyśmy odgłosy bombardowania i zobaczyłyśmy dwa strzeliste słupy ognia. Zburzony dworzec płonął.

Godzina szósta po południu – idziemy dalej. Wchodzimy na ów wspaniały wiadukt. Zbliży się do nas Francuz – jeńiec, z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie i zaczyna nas informować: - *Wojska amerykańskie rano zajęły Lipsk.* (Ach, dlaczego nas tam nie było...) *Wszystko jest jak najlepiej, starajcie się iść wolno - może was dogonią.* Aufseherka spostrzegła naszą rozmowę i usiłuje ostro interweniować. On jednak wskazuje jej opaskę Czerwonego Krzyża i równie ostro ucina scysję.

Nadchodzi wieczór, słońce zachodzi. Idziemy przez miasto powoli, jak można najwolniej! Nogi tak bołą, jeść się chce, a przede wszystkim pić. Tak strasznie chce się pić! Idziemy nocą przez wielkie, nie kończące się lasy. Mijają nas różne samochody wojskowe. Czasami przez dłuższy czas stoimy nad rowem aż samochody przejadą. Z obu stron ciemne, wysokie ściany lasu, nad nami wąski pas nieba, chwilami rozjaśniającego się od silniejszych łun.

Nagle rozlega się seria strzałów z karabinów maszynowych, szczekanie psa i ostry, groźny głos zastępcy komendanta. Kolumna nasza odruchowo cofa się, strzały się powtarzają. SS-mani krzyczą szczeka pies... Boże, co to ma znaczyć, co się dzieje? Zastępca komendanta przejeżdża koło nas rowerem, wściekle coś po niemiecku bełkocze. Niczego nie rozumiemy.

Po chwili ruszamy naprzód. Przechodzimy obok poręby. Dzieli ją od szosy rów. Jest nieco jaśniej. Ja idę od brzegu pierwsza i naraz słyszę szept, a raczej półszept – straszny jęk, prośba rozpaczliwa: - *Słuchajcie, nie zostawiajcie mnie tutaj, zabierzcie mnie...* W rowie dostrzegamy jasną plamę. A więc to nasza więźniarka, zapewne postrzelona, jakże ją zabrać? Nie możemy odejść od szeregu, bo i nas śmierć spotkać może, ale jeśli tu zostanie, to niechybnie zginie, bo idący na końcu gestapowcy dobijają ją... O Boże, mój Boże, w jakim okropnym jesteśmy położeniu!

Po jakimś czasie znowu słychać strzały. Teraz może strzelają na postrach i dla dodania sobie ducha. A ta noc straszna i długa nie kończy się wcale, jak nie kończy się nasza droga bez kresu...

Nareszcie wychodzimy z lasu. Mimo ciągłego marszu zimno nam bardzo i nogi tak strasznie bołą. W polu jest nieco jaśniej. Wciąż idą wzdłuż rowu i z daleka zauważam mostek przerzucony przez rów. Przy nim coś bieleje. Właśnie w chwili, gdy dochodzimy, spod mostku wychyla się postać kobiety. - *Ratujcie, ratujcie...* Wyciągamy do niej ręce. Nie może się podnieść, a SS-mani klną i wykrzykują swój bestialski sprzeciw. Zostawiamy biedaczkę własnemu losowi. Może dalsze szeregi ją wyratują... Idziemy bez końca, bez przerwy, bez

odpoczynku. Kiedyż nareszcie dzień się zrobi? Wyciągam z woreczka trochę sucharów, łamię je na drobne kawałki i jem, razem z Sowiną – moją towarzyszką. Och, żeby chociaż trochę wody... Tak strasznie chce się pić! Koło nas idzie SS-man, volksdeutsch spod Łodzi. Pytamy go, kiedy będziemy „na miejscu”. Obiecuje, że o ósmej rano. - *A teraz która?* - *Trzecia*. Ach, Boże, jeszcze tyle godzin... Idziemy dalej. Trzymamy się pod rękę, czasami zamykamy oczy i idziemy śpiąc.

Nareszcie zaczyna świtać. Rozróżniamy wyraźniej kontury rowów i drzew, a także domów, które mijamy. I nagle... przerażenie, i silny wstrząs, wzdrygnięcie się do wnętrza... W rowie spostrzegamy trzy trupy mężczyzn w pasiakach. - Zmarli na serce czy zabici? Trudno to wiedzieć na pewno, bo zbyt ciemno jeszcze, by dojrzeć krew, widzę jednak, że leżą jakby powaleni jednym ciosem, jedną serią jeden na drugim... Kilka kroków dalej – znowu dwóch, dalej jeden i... znów dwa ciała. Serce bije mi jak oszalałe, jestem przerażona, e przecież muszę, muszę opanować to obezwładniające przerażenie.

Sowinie robi się słabo. Wyciągam z woreczka walerianę i kawałek cukru. Po omacku, drżącymi dłońmi nalewam krople na kostkę i podaję jej: - *Sowinko, nie powinnaś się tak przejmować. Musisz wrócić do swojej Wandeczki...* To pocieszenie skutkuje lepiej niż lekarstwo. Bierze mnie pod rękę i już pewniejszym krokiem idziemy dalej. Pozostawione na poboczach ofiary zobaczymy jeszcze kilkakrotnie. Co było powodem ich śmierci – nie wiemy.

Wreszcie dochodzimy do Oschatz. SS-man dobrze miał przewidziany czas kolejnego etapu – dochodzi ósma. Ja idę w ostatniej kolumnie. Najpierw droga opada w dół, potem pnie się w górę. Widzimy wąż naszych więźniarek wijący się przed nami. Początek dosięga wzgórze. Widać, że wchodzi na jakiś ogrodzony plac i tam już szeregi swobodnie się pierzchają.

Dochodzimy i my, szukamy wolnego miejsca, kładziemy koc, rzucamy się jak nieżywe na ziemię i pragniemy tylko zasnąć. Niestety, jesteśmy tak zmęczone, nogi tak okropnie bołą, że sen nie zmruża nam powiek. Przy tym jest tak strasznie zimno. Na trawie i dachach biały szron. Leżymy, tuląc się do siebie i drżąc z zimna.

Przeczuwając, że sen nie przyniesie nam ulgi, podnoszę się i przynoszę wodę w puszcze do konserwach i rozpalamy ogień. Jest trochę śmiecia i suche słupy przy ogrodzeniu z siatki. Odłupujemy zeń kawałki i palimy. Do zagotowanej wody wrzucamy trochę sucharów i kawałek margaryny, i – mamy puszkę zupy – wodzianki. Zjadamy ją z apetytem, rozgrzałyśmy się trochę. To nam musi wystarczyć nie wiadomo na jak długo.

Wśród naszych współtowarzyszek mało która ma jakieś suchary. Zbierają więc szczaw, krwawnik, pokrzywę i z tego gotują zupę. Francuzki zbierają mlecz i jedzą surowy, jak sałatę.

Ja jestem wciąż chora, męczy mnie biegunka. Żeby jakieś lekarstwo, a tu nic nie ma. Odchodzę na bok i zbliżam się do ogrodzenia. Właśnie ścieżką po drugiej stronie przechodzą dwie Niemki. Widzę, że porozmawiałyby ze mną, ale obawiają się, czy nie zauważą tego SS-mani. Boją się ich tak jak i my. Pytają skąd idziemy, jakiej jesteśmy narodowości i jakiej narodowości w ogóle są *te häftlingi*. Odpowiadam chętnie i jak umiem dokładnie. W pewnej chwili widzę, że Niemka ma łzy w oczach, litościwie kiwa głową i powtarza: - *Mein Gott, mein Gott...* Potem wyciąga z torby porcję chleba i sera (widocznie otrzymała swój przydział), i podaje mi przez druty. Dziękuję Niemkom i zaraz chowam to uradowana, ale oto w tej chwili gromada zgłodniałych więźniarek rzuca się na mnie, chcąc mi chleb odebrać. Z trudem, broniąc zdobyczy, odłamuję kawałek chleba i ciskam go w tłum. Wszystkie rzucają się w tym kierunku, gdzie upadł, a ja uciekam do swoich towarzyszek, aby się z nimi darowizną podzielić.

Zbliża się południe, ociepliło się nieco. Kładziemy się, aby chociaż cokolwiek odpocząć, ale sen nie przychodzi. Wszystko tak strasznie boli, całe ciało, a zwłaszcza nogi, które drżą tak okropnie. Nagle do uszu naszych dochodzi warkot samolotów. Widzimy je, lecą całymi eskadrami po trzynaście. Syrena fabryczna wyje, samoloty zaczynają krążyć nad nami. Naraz

jeden gwałtownie pikuje, zniża się szybko, widać wyraźnie znaki angielskie, rozróżniamy też wyraźnie podwozie, coraz niżej, coraz niżej, jest tuż nad nami, już dostrzegamy nawet sylwetkę lotnika. Lotnik wychyla się i powiewa chusteczką. Wybucho wśród nas niebywały entuzjazm. Zrywamy się, chwytamy, co kto ma pod ręką i wywijając tym w powietrzu, krzyczymy z radości. Wierzmy w to, że alianci wiedzą, kto my jesteśmy i chcą nam dodać otuchy i sił do przetrwania tych ostatnich najstraszniejszych momentów.

Około trzeciej po południu dalszy wymarsz. Przechodzimy przez miasto Oschatz: mężczyźni naprzód, my za nimi. Zaraz za miastem zaczynają rozlegać się strzały i znowu widzimy trupy mężczyzn w pasiakach. Zostają na drodze, ciała niektórych jeszcze drgają. Ogarnia nas przerażenie, widzimy co się dzieje.

Dopiero drugi dzień idziemy, a sił już nie staje. Żeby chociaż zjeść coś do syta, żeby wypocząć, żeby wyspać się. Nagle na zakręcie drogi naszym oczom ukazuje się na polu przy drodze otwarty kopiec z ziemniakami. Część więźniarek młodszych, odważniejszych rzuca się w tym kierunku. Jakże chętnie pobiegłabym i ja z nimi, ale nie mam sił, aby rów przeskoczyć, nogi w kolanach tak bolą, że ledwo je zginam. Dziewczęta chwytają ziemniaki w ręce, nabierają je do spódnic, do kieszeni i czym prędzej wracają na drogę. Inne za przykładem pierwszych biegną do kopca. Naraz zaterkotał karabin maszynowy, więźniarki upadły, słychać jęk ciężko zranionych, lekko ranne, broczące krwią, zerwały się i dobiegły do naszej kolumny. Do leżących przy kopcu nikt się podejść nie ośmieli. Rozwścieczeni esesmani dobiegają do nas i biją kolbami na oślep, kopia...

Idziemy znowu całą noc bez przerwy, bez końca. Jest zimno, wilgotno, mży deszcz. Nad ranem dochodzimy do jakiegoś miejsca, ogrodzonego drutami. Jest jeszcze zupełnie ciemno. Tak ciemno, że z trudem wzajemnie się rozpoznajemy. Pod nogami mamy błoto, w którym grzęzniemy po kostki. Po omacku szukamy suchszego miejsca. Natrafiamy na jakieś duże bryły. Dotykamy rękami – to chyba buraki pastewne, a może brukiew? Chwytamy po kilka i siadamy na nich przytulone do siebie. Tak będzie nam cieplej i nie musimy siedzieć na błocie, a potem zjemy je. Jak dobrze, że się coś takiego znalazło!

Niestety, rano gdyśmy wstały, aby rozprostować zeszywniałe z zimna nogi, Cyganki chwyciły nasze buraki i bijąc się o nie, drapiąc i gryząc jedna drugą – uciekły. Został jeden. Ale i z niego nie miałyśmy pociechy. Gdyśmy ugryzły kawałek i zjadłyśmy, poczułyśmy tak silne pieczenie w gardle i w żołądku, że nie miałyśmy odwagi spróbować drugi raz. Tak strasznie piekło i bolało, a niczym nie można było bólu złagodzić.

Gdy się rozjaśniło zupełnie, zobaczyłyśmy, że zgromadzono nas na polu ogrodzonym drutami. Niedaleko las. Za naszym ogrodzeniem – drugie, gdzie zagnano mężczyzn. Widzimy ich dobrze. Stoją przytupując, drżąc, trzęsąc się z zimna. My mamy na sobie chociaż koce, oni są tylko w pasiakach, a w nocy takie chłody, zimno, wczoraj przymrozek...

Miejsce, na którym nas zatrzymano to jedno bagno. Nie ma ani kawałka suchego miejsca, nie można usiąść ani się położyć, aby w jednej chwili nie przemoknąć. Wody do picia nie ma, a pragnienie wciąż dokucza strasznie. Jeść się chce, a pić jeszcze bardziej. I tak okropnie zimno.

Można by zagotować trochę wody i napić się, to by nas rozgrzało, ale wody nie ma. Chodzimy po placu i wreszcie wpadamy na pomysł. W najniższym położonym miejscu, gdzie jest najbardziej mokro, robimy dołek. Za chwilę napełnia się brudną wodą. Ale mamy przecież dwie puszki od konserw – w jednej woda się ustoi, zlejemy z wierzchu do drugiej, potem zagotujemy, wkruszymy kawałek suchara i zjemy. Zaspokoimy nieco głód i będzie nam cieplej.

Po południu ogarnia nas lęk, że za chwilę każą nam znów wyruszyć w dalszą drogę, a jesteśmy już wprost nieprzytomne ze zmęczenia. Zostać tutaj na noc - też strasznie. Wszędzie tak mokro. Przed wieczorem dowiadujemy się, że jednak *zostajemy*. *Zaczynamy* z moją towarzyszką

szukać suchszego *miejsca*. *Udaje* nam się *znaleźć* miejsce przy drutach – trochę wyżej. Też mokro, ale nie grzęźnie się tak głęboko. Kładziemy na ziemi koc złożony na cztery części. Okrywamy się drugim. Przytulamy się do siebie. Może prześpimy tę noc?... Żeby tylko nogi tak nie bolały, nie wiadomo jak je ułożyć, aby nie czuć bólu i aby mogły wypocząć i jutro być zdolne do dalszej drogi.

Obok nas szykują się do spania dwie Rosjanki. Za drutami niedaleko, o parę kroków, widać stertę słomy. Jedna z Rosjanek, widząc, że esesmani nie patrzą w naszą stronę, *przebiegła pod drutami chcąc przynieść* trochę tej słomy. Wtem padł strzał i biedaczka upadła przy stercie. A taka była młoda i silna, mogła przetrwać do końca... Usypiamy, chociaż drżymy z zimna. Nad ranem budzimy się dygoczące. Od ziemi koc przemókl zupełnie i suknie nasze aż do ciała. Koc z wierzchu był również mokry, pokryty szronem.

Rano rozchodzi się wiadomość, że na tym błotnym polu zostaniemy jeszcze jeden dzień. - Ale co będziemy jeść? Nie ma ani pokrzyw, ani szczawiu... Łupimy słupy, do których przymocowane są druty ogrodzenia i palimy ogień. Około południa na „nasz plac” zajeżdża platforma, na której widać coś jakby kalarepę. Po dwóch SS-manów z karabinami maszynowymi siedzi po bokach, jeden zaś stoi na platformie, trzymając widły. Wjeżdżają w środek nas, tej sześciotysięcznej wygłodzonej masy.

Stojący esesman nabiera widłami kalarepę i z rozmachem rzuca w tłum. Rozlega się przeraźliwy ryk, wycie... Setki rąk wyciągają się po jedną kalarepkę. Szaleją Cyganki – rzucają się jedne na drugie, gryzą szarpią duszą... Tworzy się stos umazanych w błotnistej mazi, wijących się ciał. Widok jest potworny, a Niemcy? Śmieją się, głębiej wjeżdżają w tłum, tratując kto się nawinie, znów rzucają warzywny ochłap i znów widok podobny. Szalejące, zgłodniałe postacie rzucają się do wozu, chcąc chwycić kalarepę. Popychają się, wpadają pod koła, łamią ręce i nogi, jedne drugie tratują. SS-mani kolbami walą po głowach, po rękach, z całej siły. Odgłosy uderzeń są tak silne. ..jak czaszka może taki cios wytrzymać?...

Patrzmy na to z pewnego oddalenia, przerażone, drżymy całe i głosu wydobyć nie możemy. To, co widzimy, to istne piekło. Następną noc spędzamy w tym samym miejscu, znów głodne i zmarznięte. W nocy budzi nas kilkakrotnie jakiś okropny krzyk, gonitwa, jęk, jakby kogoś duszono, i strzały. Rano dowiadujemy się, że to Cyganki rzucały się na śpiące, wydzierając im spod głów pakunki, w których spodziewały się znaleźć coś do jedzenia i ściągały ze śpiących koce, aby się nimi okryć.

Rano skoro świt wyruszamy dalej. Z daleka spoglądamy na opuszczany plac. Widać tam leżące w różnych miejscach postacie, zarówno na naszym polu, jak i tam, gdzie byli mężczyźni. Są to ci bezimienni, którzy już nie wrócą do domów, ci, na których rodziny będą czekać bez końca.

Idziemy znowu trzy dni i trzy noce, z krótkimi tylko odpoczynkami, zostawiając za sobą trupy, już nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. Iść trzeba prędko – przecież miałyśmy dwa dni odpoczynku. Jeść nie dają nam nic. Po drodze nabieramy tylko wody do puszek i pijemy.

Po trzech dniach, 21 kwietnia, dochodzimy do Glaubitz. Zatrzymujemy się na odrutowanym dla bydła miejscu, tuż pod lasem. Ma tu być dłuższy odpoczynek. Miejsce jest dość suche, jest źródło, trawa, w której rośnie szczaw, krwawnik, mlecz i pokrzywa. Trzeba się jednak śpieszyć, bo tych prawie sześć tysięcy zgłodniałych istot szybko wszystko wyrwą. W lesie jest dość suchego drzewa, gałęzi, liści. SS-mani wyznaczyli miejsce, którędy wolno pójść po wodę do strumyka i gdzie wolno jest zbierać drzewo. Zaledwie jednak kilka więźniarek uszło parę kroków w las – padły strzały i nieszczęsne ofiary upadły na ziemię. Reszta przerażona uciekła. Po chwili znowu kilka odważniejszych wyrusza po gałęzie. Widzimy, że esesman bierze jedną z nich na cel więc krzyczymy: - *Uciekajcie, uciekajcie...* Część chwyciła gałęzie i zaczęła

uciekać. Jakaś Francuzka właśnie uniosła rękę w górę, aby odłamać suchą gałąź – gdy padł strzał. Część ręki odstrzelona głucho upada na ziemię, ze zranionego ramienia bucha fontanna krew. Francuzka ze strasznym jękiem robi kilka kroków, chce dojść do drutów, słania się i pada... Nie wolno jej ruszyć... Musi tak leżeć, aż umrze.

Po chwili podobny obraz. Tym razem raniona w brzuch pada Janka z Warszawy. Jej nazwiska nie pamiętam, pamiętam, że ślicznie malowała na porcelanie. Przetrwała Majdanek, Ravensbrück, teraz ginie u progu wolności. Wracała do ośmioletniego synka, o którym nam często w obozie opowiadała. Długo w noc rozlegał się jej cichy jęk i przywoływanie synka: - *Januszk, Januszk, już cię nigdy nie zobaczę...*

Przez trzy dni trwał postój. Z trawy nic nie pozostało. Aby zaspokoić głód, z łąki wyrwano każde źdźbło.

Jednego dnia z głuchym dudnieniem nadleciały samoloty. Leciały po trzynaście – jeden z nich był zawsze ciemniejszy od reszty. Wzносimy oczy ku nim z nadzieją, że w końcu spełnią one cud, klęskę Niemiec, a nam przyniosą wolność. Lecą wysoko, błyszczą od słońca. Naraz rozlegają się głucho wybuchy - to artyleria przeciwlotnicza kieruje ku samolotom swoje pociski. Widzimy wokół nich ukazujące się białe punkty, jakby obłoków. To rozrywają się pociski. Z głębi serca, z zapartym oddechem śledzimy dalszy przelot, śląc im gorące życzenia ocalenia w tej walce. Naraz koło naszych głów słyszymy lekkie gwizdy i nagle coś uderza o ziemię. Jedna z więźniarek krzyknęła i widzimy na jej policzku ranę, z której sączy się krew, spadająca kroplami na suknię. Okazuje się, że odłamki pocisków rwących się w powietrzu, spadają na ziemię, a jeden z nich zranił siedzącą w pobliżu. Czym prędzej składamy grubo koce i okrywamy nimi głowy.

Tymczasem samoloty odleciały i usłyszałyśmy głucho odgłos detonacji. To było bombardowanie. Podczas tego nalotu od pocisków zostało zabitych parę koni. Esesmani wezwali więźniów - mężczyzn, ci odarli konie ze skóry, następnie Niemcy ustawili nas piątkami, policzyli i zaczęli szykować się do funkcji dla nas zbawiennej: przydzielania żywności. Na plan zajechał motocyklem komendant naszego obozu w Lipsku Johann Pflau. Coś gwałtownie silnie gestykulując mówił do SS-manów, a potem odjechał. Jakiś czas później zobaczyłyśmy szereg małych, czterokołowych wózków, jadących od strony wsi. Ciągnęli je mężczyźni i młodzi chłopcy. Gdy podjechali bliżej, zauważyłyśmy, że na wózkach leżą ziemniaki. Jeszcze dymią a więc są ugotowane!... pyszne, gorące, prawdziwe ziemniaki...

Cieszymy się ogromnie, ale zaraz obawa – czy starczy dla wszystkich? Trzeba stanąć jak najbliżej, bo co będzie, jeśli tam na końcu stojący już nic nie dostaną? SS-mani krzyczą ustawiając rachują – i naraz huk, jak grom, i głośny warkot. Co to? Nad lasem przelatują dwa myśliwce, niziuteńko, tuż nad wierzchołkami drzew, lecą wyraźnie w naszą stronę, nad nami jeszcze bardziej zniżają lot, tak, że w jednym i drugim samolocie doskonale widzimy pilota i obserwatora. Lecą szybko, powiewają chusteczkami, i my chwytamy co mamy pod ręką i wprost ryczymy z radości. Niemcy trwożliwie kryją się między nas, nakrywają naszymi „jakami” i kocami. Samoloty nawróciwszy, znów lecą niziuteńko nad nami. Niemcy, którzy przywieźli ziemniaki na wózkach, przerażeni uciekają do lasu i tam kryją się w gęstych zaroślach.

Kiedy samoloty odleciały, ustawiamy się piątkami, esesmani rozdają ziemniaki i po ochłapie mięsa. Jest tak odrażająco sine, wstrętne, mimo to bierzemy je, bo to nam może życie uratować. Za chwilę na całym polu palą się ognie, gotuje i piecze się mięso, rozchodzi się zapach... Zjadamy otrzymane ziemniaki i układamy się na spoczynek. Miejsce mamy znów koło drutów, za którymi rosną niskie sosenki. Obok nas siedzą dwie Rosjanki, jedna z nich wstaje i podchodzi do drutów, spostrzega jednak, że w naszym kierunku idzie SS-man, więc cofa się i zawraca. On jednak podchodzi do niej, wyciąga błyskawicznie rewolwer, przykładą do jej głowy i zanim zorientowałyśmy się – strzałem roztrzaskuje jej czaszkę. Pada nieszczęsna, a mózg i

krwem opryskuje nas. Siostra z jękiem rozpaczony rzuca się na jej ciało. SS-man uśmiechnięty odchodzi.

Po trzech dniach postoju zapowiedziano wymarsz. Po kilku dniach pogodniejszych – rano wstał pochmurny, mglisty. Ustawiamy się do wyjścia. Ciche, otępiałe, zgnębione, bez siły, bez lepszej myśli. Wychodzimy za bramę patrząc ze smutkiem na grupę stojących wynędzniałych postaci. Te więźniarki nie mają już siły iść dalej – postanowiły zostać. Patrzą za nami oczami pełnymi rozpaczony. My patrzymy na nie z lękiem i bólem. Zostawiamy też leżące ranne i chore. Co z nimi wszystkimi – nie wiemy. Najpewniej idący na końcu SS-manów zbrodnictwami strzałami położą kres ich męce.

A my pójdziemy dalej bez kresu, znacząc drogę trupami.

Kiedy skończy się ta straszna wędrówka?

Czy doczekamy się jej końca?